Rok 1935. 6 października Nr. 41

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.

W puszczy.

Wiele razy ociera nam się o uszy słowo „puszcza“. W dawnych czasach miała Polska puszcze potężne, z których do dziś zachowały się tylko nieznaczne resztki, jak n. p. puszcza białowieska, niepołomicka, świętokrzyska. Wiadomo, że i Litwa w dawnych wiekach była prawie jedną niezgłębioną puszczą, i że w tych puszczach żyły dzikie zwierzęta, jak żubry, niedźwiedzie, dziki, wilki, wspaniałe rogacze. W puszczach tych jednak nie zagrażało człowiekowi na każdym kroku niebezpieczeństwo; bo choćby nawet spotkał się z niedźwiedziem czy dzikiem, to niekoniecznie musiał ginąć od niego, zwłaszcza, gdy był doświadczonym myśliwym.

Zupełnie zato odmienna od wszystkich puszcz na lądzie europejskim jest puszcza amerykańska, w szczególności brazylijska (w Ameryce południowej). Panujący tam klimat gorący, podzwrotnikowy, olbrzymie rzeki, nad któremi te puszcze rosną, wszystko to sprzyja niesłychanie rozwojowi roślinności, tak, że nikt, kto na własne oczy tego nie zobaczył, nie zdoła sobie dokładnie wyobrazić, jak naprawdę puszcza brazylijska wygląda.

Niestety, zapoznał się z nią na dobre niejeden chłop polski, który, nie mogąc wyżyć w ojczyźnie, sprzedawał wszystko co miał i za uzyskane w ten sposób pieniądze jechał, emigrował właśnie do Brazylji, gdzie mu obiecywano tyle ziemi, ile jeno zechce, pod jednym wszakże warunkiem. Warunkiem tym było wytrzebienie przez niego dzikiej puszczy własną pracą, własnym wysiłkiem, własną męką. Decydował się na to nasz chłop, ufając swoim niezmożonym siłom, jechał za ocean, i tam dopiero, na miejscu, przekonywał się o tem, że godząc się, nie miał właściwie pojęcia, na co się godzi. Nie było już jednak innej rady, jak tylko brać się do pracy, jakiej nie zaznał nigdy w własnym kraju.

Oto czekała na niego, na jego topór, na jego piłę, przepastna, ludzką ręką nietknięta puszcza, pełna drzew odwiecznych, pełna nieprzebytego podszycia leśnego, pełna plątaniny, roślin, które, wyrastając na pniach i szczytach drzew, oplatają cały las niby gęstą siecią, tak, iż jednego kroku naprzód zrobić nie można bez siekiery czy tęgiego noża w ręku. Na dodatek, w puszczy tej żyły zwierzęta, wobec których nasz niedźwiedź mógł się wydać zupełnie niewinnem stworzeniem. Krwiożercze tygrysy, jaguary, jadowite węże, potworne małpy i t. d., a przytem niezliczona moc owadów, które nie dają ani chwili spokoju, a których ukąszenie staje się powodem wielu cierpień i chorób.

Tak to powoli, rękami polskich i wogóle europejskich emigrantów, zamieniała się puszcza brazylijska w uprawną ziemię, powstawały na jej miejscu osady ludzkie, kolonje, gospodarstwa, czyli t. zw. farmy, kościoły, ale także i cmentarze dla tych, którym nie było już przeznaczone wrócić do Ojczyzny.

Jednak Brazylja jest krajem tak olbrzymim, a puszcze jej ciągną się na

tak nieprzejrzanych obszarach, że wieki jeszcze upłynąć mogą, zanimby zniknąć miały te lasy dziewicze. To też nie brak nigdy śmiałych, a spragnionych przygód podróżników, którzy zapuszczają się w puszcze brazylijskie czy to dla polowania na tamtejsze zwierzęta, czy też dla naukowego poznania przyrody tego egzotycznego kraju.

Wielu z tych podróżników przepłaca życiem swoją żądzę wiedzy, ginąc od zabójczego klimatu, albo od ukąszenia jadowitych wężów lub owadów, w kłach dzikich zwierząt, czy od promieni palącego słońca. Nie odstrasza to jednak innych, którzy pouczeni doświadczeniem swych poprzedników, wybierają się na te dalekie a niebezpieczne wyprawy z coraz lepszem przygotowaniem. Zaopatrują się więc w doskonałą broń, odpowiednie odzienie i obuwie, a przedewszystkiem w lekarstwa, które, zastosowane natychmiast, niejednokrotnie ratują od śmierci.

Najczęściej biorą z sobą podróżnicy doświadczonych przewodników z pośród Indjan, jako tamtejszych mieszkańców znających doskonale wszelkie tajemnice swego kraju, a zwłaszcza dzikich puszcz, zwanych zwykle dżunglami. Miewają oni niekiedy wiele uciechy z powodu niedoświadczenia białych cudzoziemców, których nazywają gringo.

Oto n. p. ledwie taki gringo zapuścił się w skraj dżungli, a tu nagle rozlega się wokoło straszny ryk. Przekonany, że zbliża się tygrys lub jaguar, by za chwilę rzucić się na niego kocim skokiem, przygotowuje się do odparcia drapieżnika. Tymczasem Indjanie z niego się śmieją, gdyż wiedzą doskonale, iż ten, przerażający Europejczyka ryk, jest niczem innem, jak tylko hałaśliwą zabawą niewinnych małpek.

To znowu budzi w nocy białego człowieka głos dzwonów. Zdziwiony skąd w dżungli wzięły się dzwony, zrywa się z posłania i nadsłuchuje — na to, aby się dowiedzieć, że w ten sposób nawołują się pewne ptaki, zwane araponga. Innym razem wydaje się podróżnikowi, że od strony rzeki dolatuje go płacz małego dziecka. Śpieszy więc na pomoc, brnąc po pas w zdradnych trzęsawiskach i widzi, jak właśnie żółw połyka płaczącą żabę.

Kiedyindziej staje jak wryty w ziemię, bo mu się zdaje, że już nie umknie przed straszliwym wężem, który zagrodził mu drogę. I znowu śmieją się z niego bronzowi mieszkańcy Ameryki, gdyż mniemany wąż okazał się konarem obrosłym mchami. A właśnie innym razem, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, omal nie otarł się o jadowitą żmiję, którą wziął za zieloną gałąź, i tylko dzięki Indjanom, uniknął nieszczęścia. *(C. d. n.)*

DOOKOŁA ŚWIATA.

III.

Niech się jednak nikomu nie zdaje, że taka ćwiczebna podróż „Daru Pomorza“ dookoła świata, to rok bajecznej sielanki, bo to był rok ciężkiej pracy. Niejeden maminsynek musiał nieraz pożałować, że nie został w domu, gdy mu wypadło drżeć na lodowatym wichrze u brzegów wymarzonej Japonji, lub zdzierać sobie paznokcie do krwi, gdy rozhuśtany na szczycie rei masztowej, wśród nocnego mroku, targany wichurą wyjącą, smagany wodospadami ulewy, musiał wiązać liny, podciągać żagle, baczny na każdy ruch, na każdą komendę kapitana.

Tamte wszystkie cuda dalekiego świata, nowe porty i nowi ludzie pod coraz innem niebem, z innemi zwyczajami i krajobrazami, to tylko krótkie przystanki na przestrzeni 39.000 mil, a lwia część tych mil to morze i mo-

rze... Dobrze, jeżeli wiatr stały, pomyślny, nie wymaga obracania żagli na odpowiedni kąt do wiatru. Wtedy jest względne wytchnienie, wypełnione wykładami, kursami, egzaminami, czytaniem czterdziestu dzieł obowiązkowej w ciągu podróży lektury. Ciągle jakieś ćwiczenia sportowe i gimnastyczne. To ćwiczebny alarm pożarowy, wodny, szalupowy, okrzyk „człowiek za burtą“ i t.p., bo na przestrzeni dnia nie może być ani chwili bezczynnej. Aby być żeglarzem, trzeba wiele umieć, a każda chwila może przynieść wiele cennych wiadomości z rzeczy najdrobniejszych i wydających się bez wartości.

Jak dalece jednak naszym chłopcom podróż ta służyła, o tem przekonali się w Gdyni oczekujący „Daru Pomorza“ goście i rodzice. Średnio każdemu z tych 68 uczniów państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni przybyło po 7 kg wagi, a poszczególne części garderoby krawiec okrętowy w ciągu podróży musiał kolejno przerabiać, bo się okazywały coraz zbyt szczupłe. Ale po co miary i wagi, kiedy żadna mama nie może po roku poznać własnego syna, tak jej kapitan Maciejewicz odmienił go na swoim statku: przeważnie odjeżdżali z wyglądu chucherka blade, a poprzyjeżdżali czerstwi, zdrowi, ogorzali, atletyczni kandydaci na oficerów marynarki handlowej, witani przez ministrów i dygnitarzy państwowych w macierzystym porcie, który wraz z nimi przeżywał godzinę prawdziwej dumy.

Powitanie świadczyło dobitnie także o zdobytej w podróży karności i poczuciu obowiązku. Oto po przybyciu statku do portu, po rocznej rozłące czekały o kilka kroków na lądzie matki młodych marynarzy, siostry, narzeczone. Zdawałoby się, że po tak przeżytym roku każdemu chłopakowi serce nie pozwoli pohamować się, że każdy będzie biegł zaraz okiem w ten tłum na brzegu oczekujący, by odszukać swoich najbliższych. Tymczasem upragnione powitanie musieli chłopcy odłożyć aż do ukończenia raportu kapitana i przeglądu uczniów przez panów Premjera i Ministra handlu. Rok życia na statku nauczył ich tego: wpierw służba i obowiązek, a dopiero potem sprawy osobiste, rodzinne. Toteż dopiero, gdy załatwiono wszelkie formalności i gdy się skończyły uroczystości urzędowe, jeden za drugim nie mogąc nieraz powstrzymać łez wzruszenia, biegł w stronę wołanego imienia, by z krzykiem szczęścia „Mamusiu!“ rzucić się do rąk matki, która przez cały rok na taką chwilę czekała, ufność pokładając jedynie w modlitwie i uspakajając swoje o syna trwogi wiarą w cudowną opiekę Matki Bożej — Gwiazdy Morza, przeprowadzającej takie kruche łupinki statków żaglowych poprzez zbałwanione huraganami morskie odmęty bezpiecznie i cało...

Z życia naszych ptaków.

Zaczęła się jesień. Mówi nam o tem wygląd pól, łąk, ogrodów i lasów liściastych. Barwy więdnącego na drzewach liścia naśladują kwiecie, zżółkłe liście klonów, brzóz i dębów różnobarwnym kobiercem ściele się na ścieżkach i trawnikach parków, a niby purpurowe lampiony wychylają się szkarłatne korony osik z jednostajnej zieleni sosen, świerków i jodeł. W lasach z podszyciem krzewów uwijają się jeszcze ruchliwe i sprawne rudziki, strojne w czerwone podgardle. One dłużej od innych ptaków przelotnych pozostają u nas, ponieważ teraz trzmieliny pokryte są purpurowemi jagodami, które dla nich stanowią przysmak nadzwyczajny.

Warto się dowiedzieć o tym naszym rudziku, którego od świtu do wieczora widzieć i słyszeć można na każdym krzaku leśnym, że kiedy nas wreszcie opuści, nigdzie za morza się nie wybierze, tylko zaleci do południowej Hiszpanji i tam w okolicy gór San Nevada zatrzyma się na zimę w lasach, pokrytych wieczną zielenią dębów, wiązów i kasztanów, gdzie ma pełno jagód na wiciokrzewach i trzmielinach i gdzie żywić się też może fruwającemi owadami oraz gąsienicami i larwami.

Rudzik ma zwyczaj na widok zbliżającego się niebezpieczeństwa wydawać krzyk ostrzegawczy, zrozumiały nietylko dla ptaszków, ale nawet dla mniejszych

zwierząt czworonożnych. Odznacza się on pięknym głosem i miłym wyglądem, a słynie ze zmyślności. Przyrodnik pewien podpatrujący rudziki widział, jak dwa samczyki czubiły się z sobą stale. Kiedy jeden z nich wszakże okaleczył sobie nóżkę, jego towarzysz zaniechał zaczepek i bójek, lecz przedziwną troskliwością otoczył chorego, któremu żer przynosił. Później, gdy ranny wyzdrowiał, przyrodnik zauważył, że ptaszki dalej żyły w zgodzie, jakgdyby wdzięczność nie pozwalała towarzyszowi wszczynać bójek z dobrym opiekunem.

Z tego widzimy, że ptakom nie są obce uczucia litości i wdzięczności, a kiedy się w ich śpiew wsłuchamy, przekonamy się, że w nim brzmi wiele uczucia pokrewnego człowiekowi. Nic więc dziwnego, że węzły przyjaźni wiążą go z ptaszkami, które zimą przed wichurą i mrozem chowają się w sąsiedztwo ludzkich domostw.

Dawno już od nas odleciały pliszki i pokrzewki, świergotki i świstunki, wilgi i kukułki, dzierzby i gajówki, ale teraz zlecą się do naszych ogrodów sikorki, dzwońce, czyże i zięby — i byle tylko słońce świeciło, to choćby mróz nawet doskwierał, darzyć nas będą swym śpiewem pełnym uczucia. A czyż ptaszek nie dorównuje ludziom w miłości rodzicielskiej piskląt? On, taki lubownik światła i ruchu, tygodnie całe przebywa bez ruchu i w mroku na gniazdku, by wypełnić obowiązek wychowania młodych.

Lada dzień zauważymy, wślad za sikorkami i bargielkami, zjawiającego się na jesień i zimę w naszych ogrodach i sadach osobliwego gościa. To dzięcioł, który jak lekarz chorych, opukuje pnie jabłoni, gruszki czy czereśni. Dzięki swemu niezwykle silnemu dzióbowi dzięcioł potrafi wykryć kryjące się pod korą larwy, a nawet wydrążyć sobie w drzewie wygodne dla siebie mieszkanie — a jest tak przemądrze ostrożny, że je wykluwa w pniu głęboko z otworem tak małym, że do wnętrza nie może nocą zajrzeć puszczyk. Ale z tego też powodu dzięcioł z rodziną budzi się później od reszty ptaków, gdyż dla niego później słońce wstaje rano.

Każdy dzięcioł ma w lesie swój okręg, w którym nie znosi współzawodnictwa towarzyszy. Ale na zimę opuszcza go i szuka larw w korze drzew owocowych lub przydrożnych. Cieszy się on poważaniem u leśników, których zielone mundury przypominają jego pierza zabarwienie. *R. L*



SZARADA.

Z czterech zgłosek szarada
Męskie imię składa.
Pierwsza — to litera,
Z podziwu usta otwiera.
A druga — ma go apteka,
Zwykle gorzki bywa.
Trzecia jako znana rzeka
Wprost do Wisły wpływa.
Czwartej niema w polskiej mowie,
U Niemca słyszysz w co piątem słowie.

Misjonarze nawracając Chińczyków na wiarę chrześcijańską, starają się zabawić ich dzieci, które z coraz większą ciekawością garną się do domu misyjnego, gdzie czekają ich osobliwe niespodzianki. Czasem więc urządzają dla dzieci, które uczą katechizmu, bal maskowy i właśnie na naszej rycinie widać małych Chińczyków-katolików w zabawnem przebraniu na maskaradzie.